ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Lutego 1893. Nr. 3.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEWIDOMY ŚWIADEK.

(Dokończenie.)

Kiedy zbliżał się termin weksli, bankier bristolski, nie zadawalając się upłatą procentów, wynoszących 20% na pół roku, dalszej prolongaty odmówił i pomimo wszelkich prośb i błagań zagrożonego zupełną ruiną dzierżawcy, zażądał wypłaty kapitału. Tomasz Pratt widział się zmuszonym sprzedać nietylko cały tegoroczny sprzęt, lecz także i znaczną część inwentarza roboczego, aby tylko być w możności zapłacić swój weksel. Jaka go zaś przyszłość czekać mogła, to łatwo przewidzieć!

Rozgoryczony do najwyższego stopnia, na jarmarku w Tavistock, przy kieliszku, nie ukrywał się wcale z nienawiścią do lichwiarza i kilka słów, nieoględnie powiedzianych, wtrąciły go teraz do więzienia. Wyrwało mu się bowiem stwierdzone przez świadków zdanie: »Ten stary lichwiarz wart, aby mu czaszkę rozbito, gdyż on tylko jest przyczyną całego mego nieszczęścia!«

Kiedy zaś stary bankier przechodził mimo niego, pogroził za nim Pratt ściśniętą pięścią i wymruczał niezrozumiałe wyrazy.

Pratt nie zapierał się wcale tych słów, pod wpływem żalu i gniewu powiedzianych, lecz zapewniał, że wytrzeźwiawszy, bardzo ich żałował.

Najgorszą rzeczą dla niego było, że nie mógł udowodnić, gdzie się znajdował podczas spełnienia zabójstwa. W domu własnym nie nocował, ani też u nikogo ze swych znajomych. Gdy się go zaś o to zapytano, wyjaśnił, że przez całą noc włóczył się w okolicach miasteczka, aby podczas chłodnej nocy, troską i gniewem wzburzony umysł uspokoić.

Takiego rodzaju wyjaśnienie naturalnie, nie mogło być uznanem za wystarczające, przeciwnie, nawet doprowadziło do przekonania, że zabójstwa dokonał Pratt z rozmysłem i naprzód ułożonym planem. Na nic się nie zdały wszelkie zapewnienia sąsiadów i znajomych jego, że znają go jako zapobiegliwego, pracowitego rolnika i bardzo dobrego ojca rodziny.

Jedna, jedyna tylko okoliczność przemawiała na jego korzyść, mianowicie zeznanie niewidomego Gilpina. Ten

stanowczo oświadczył, że kto inny, a nie Pratt rozmawiał z nim na moście. Przyznał, że tenże ma równie ostry głos, lecz wyraża się zupełnie inaczej, niż tamten. Tamten był z pewnością mieszczuchem!

Oświadczenie to zrobiło niejakie wrażenie na sędziach, lecz nie zdołało zachwiać ich powziętego z góry przekonania.

Zgodzono się na to, że stary grajek pomylił się, albo też, że Pratt potrafił zmienić głos podczas rozmowy na moście.

Wszystko więc przemawiało na niekorzyść obwinionego.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy przysięgli mieli wyrzec zdanie swe o niewinności lub winie podsądnego, a więc uwolnić go, albo też skazać na śmierć...

Wszystkie ławki i trybuny sali sądowej przepełnione były publicznością ciekawą zakończenia tak nadzwyczajnego procesu.

Nikogo nie było w sali, ktoby wierzył w niewinność oskarżonego....

Jeden tylko niewidomy grajek, którego w charakterze świadka przyprowadzono do sali, wierzył w to...

Dwunastu przysięgłych zasiadło i wybrano jednomyślnie na przewodniczącego Mr. Dawida Linton, niemłodego już, z bladawą twarzą i czarnym zarostem człowieka.

Był-to jeden z najznakomitszych obywateli miasta, cieszący się jako kupiec ogólnem poważaniem; piastował on różne godności, był przełożonym w gminie, opiekunem ubogich, wdów i sierot i t. d.

Podczas ostatnich rozpraw, oskarżony uporczywie dowodził swej niewinnosci, powołując się na zeznanie Gilpina. Lecz widocznem było, że mało jest nadziei, aby zwalczyć było można silnie ugruntowane przekonanie. Nagromadzone przeciwko Prattowi dowody, były zanadto obciążającemi...

I w samej rzeczy, gdy przysięgli, po krótkiej, zaledwie kwadrans trwającej naradzie, powrócili do sali, przewodniczący odezwał się stłumionym, ostrym i dziwnie wzruszonym głosem:

— Według honoru i sumienia! Przysięgli znajdują Tomasza Pratt, bez łagodzących okoliczności, winnym morderstwa, popełnionego na osobie Samuela Roggers z Bristolu!

Nagle rozległ się krzyk na ławce, gdzie zasiadali świadkowie.

Wszyscy zwrócili się w tę stronę, a nawet i oskarżony.

Niewidomy żebrak stał tam wyprostowany, pod wpływem gwałtownego wzruszenia.

Pozbawione światła gałki jego oczu wlepione były w jeden punkt, a w prawej ręce trzymanym kijem, wskazywał on na miejsce, z którego tylko co rozległ się głos przewodniczącego przysięgłych.

— Co to ma znaczyć? — zapytał surowo prezes sądu.

— Przypatrzcie się temu człowiekowi — wołał Gilpin — prawdziwy sąd Boży!... patrzcie się na tego człowieka, który teraz mówił i na którego ja wskazuję!...

— Cóż dalej?

— To ten sam głos!

— Przecież nie będziesz chciał twierdzić, aby szanowny Dawid Linton...

— Nie znam jego nazwiska, lecz przysięgam Wszechmocnemu Bogu na Niebiosach, że on jest tym, z którym na moście rozmawiałem!

— Człowieku, szalejesz chyba!

— Nie, nie, to jego głos! Jeśli on nazywa się Dawid Linton, to Dawid Linton jest mordercą, a Tomasz Pratt jest niewinny, jak to już dawniej mówiłem!

Na ławce przysięgłych zaczęto wołać:

— Pomocy! co prędzej!... Sir Dawid Linton zemdlał!...

Ogromne zamięszanie powstało w całej sali. Z tysiąca piersi rozlegały się okrzyki:

— Sąd Boży!... Sąd Boży!... Linton mordercą, Pratt niewinny!... Sam Bóg przez niewidomego żebraka wskazał na niego!...

Nie pozostawało nic innego, jak zawiesić posiedzenie i kazać opróżnić salę.

Przez długi czas jeszcze zebrane przed gmachem sądowym tłumy, gorąco rozprawiały o nadzwyczajnym wypadku i, jak to zwykle się dzieje, gdy zamożny i wysoko w społeczeństwie postawiony człowiek upada, tak też i w tym wypadku naraz zaczęły odzywać się głosy, że dawno już trzeba było sprawdzić księgi handlowe Linton'a, że jego interesa są w bardzo złym stanie!... Przed godziną niktby się nie był ośmielił tak mówić...

I teraz dopiero wszystkim zrozumiałą się stała zbrodnia i jej powód...

Tymczasem sąd odbywał swe posiedzenie.

Rezultatem tej narady było, że tymczasowo odprowadzono Pratta do więzienia, dopóki rzecz cała należycie się nie wyjaśni. Polecono wszakże obchodzić się z nim jak najlepiej i pozwolono mu widzieć się z rodziną, z czego skorzystała natychmiast nieszczęśliwa jego żona.

Gdy zemdlonego Lintona przywrócono do przytomności, oświadczono mu, że, jako podejrzany o zabójstwo, musi być zaaresztowanym...

Bez najmniejszego oporu możny pan poddał się temu rozporządzeniu...

Przy poszukiwaniach w mieszkaniu pana przewodniczącego przysięgłych, znaleziono w tajemnej skrytce zegarek i sakiewkę zamordowanego Roggers'a...

Kiedy mu pokazano te przedmioty, przyznał się do wszystkiego.

Przyczyną, która popchnęła Lintona do zabójstwa, było to, że oddawna już będąc w pieniężnych stósunkach z Roggersem, został namówionym przez tegóż do wdania się w różne spekulacye, które początkowo przyniosły znaczne zyski, później jednakże nadzwyczaj nieszczęśliwie wypadły. Przyszło do tego, że zmuszonym się zobaczył naruszyć powierzone mu depozyta sierot, aby zadosyć uczynić wekslowym zobowiązaniom.

Nadto wszędzie był zadłużonym.

Gdy Roggers nie chciał dalej przedłużyć weksli, ujrzał się Linton w położeniu bez wyjścia... Z chwilą niezapłacenia owych nieszczęsnych weksli, ogłoszonoby upadłość jego jako kupca i pociągniętoby go do odpowiedzialności za naruszenie depozytów... Słowem, ruina była niezawodną! Napróżno prosił bankiera o zwłokę...

Dla wyratowania siebie z rozpaczliwego położenia, postanowił zamordować Roggers'a i zabrać mu weksle. Wiedział on, że bankier ma je w swej sakiewce, oraz wiadomem mu było, że poszedł pieszo na jarmark w Travistock, dla załatwienia interesów.

Na tem zbudował cały plan zabójstwa i poszedłszy w stronę Tavistock, niby przypadkiem spotkawszy Roggers'a wszczął z nim rozmowę, której urywane słowa doszły do uszu niewidomego grajka. Następnie zdradziecko zastrzelił go na moście w wąwozie, nie przypuszczając, aby jedyny tego świadek, ślepy Gilpin, kiedyś jako mściciel i zbawca niewinnego Pratta przeciwko niemu mógł powstać...

Dawid Linton, powiesiwszy się w więzieniu, uniknął publicznej kary.

Naturalnie uwolniono natychmiast Tomasza Pratt, któremu spadkobiercy bankiera, odziedziczywszy ogromne bogactwa, jako odszkodowanie za niesłuszne posądzenie i wycierpiane więzienie, ofiarowali trzysta funtów szterlingów. Tyleż ofiarowano i niewidomemu Gilpinowi.

Dzięki tej zapomodze, polepszył się stan majątkowy Pratta do tego stopnia, że w przyszłości żył spokojnie i szczęśliwie.

Gilpin zaś, umieściwszy swą sumkę w Towarzystwie Ubezpieczeń na dożywotnią rentę, nie potrzebował już więcej odwiedzać jarmarków z wiernym swym Karo...

POLSKA MOWA.

Trwoga idzie w nasze domy;
Wielu wola, łamiąc ręce:
»Ach, rozbiją ją te gromy,
Ach, ulegnie takiej męce!«

Lecz tej mowy nie zachwieje
Siła żadnej nawałnicy;
Przejdą burze, są nadzieje
W Bogu i Bogarodzicy.

Co Bóg z Swego wydał łona,
A ma w Swej potężnej pieczy,
To nie umrze, to nie skona,
Tego wicher nie zniweczy.

Wśród niewoli Babilonu
Miał Izrael czas grobowy,
A powrócił do Syonu
I nie stracił swojej mowy...

Stańmy w mowy cnej obronie:
Niech brzmi z piersi naszych wszędzie,
Miłość, która ku niej płonie,
Niech i w czynach jawną będzie.

Niechaj wszystkie polskie łany,
Wioski, miasta i dąbrowy,
Jak na hasło, na znak dany
Dźwięczą echem polskiej mowy.

A gdy dzieci Bóg dał komu,
Niech codziennie je nakłania
We dnie, wieczór we swym domu
Do czytania i pisania.

Takie niechaj będą czyny,
Taka walka i obrona;
Tak niech czynią polskie syny,
A ta mowa nam nie skona!

Jako bez swej matki pszczoła
Słodki miód przestaje zbierać,
Tak niech cały lud zawoła:
»Matko z tobą żyć, umierać!«

Pieśćże, matko! uszy nasze,
Aż do deski cmentarzowej!
Boże wielki! plemię lasze
Życie odda dla swej mowy!

KARDYNAŁOWIE NA STOLICY WROCŁAWSKIEJ.

Wspaniałomyślna szczodrość książąt szląskich, rycerstwa i zamożniejszych obywateli wyniosła biskupstwo wrocławskie na jedno z najwspanialszych w północnych krajach Europy. Bogate dochody, liczne osady, zdobycie całej kasztelanii Odmuchowskiej i ziemi Nyskiej, pozyskanie powiatu grodkowskiego i nabycie wreszcie prawa zgoła książęcego nad temi posiadłościami sprawiły, że stolicy wrocławskiej słuszną przydano nazwę »biskupstwa złotego.« Nie dziw tedy, że wielu ubiegało się o godność biskupa wrocławskiego. Niestety hojne wyposażenie biskupstwa przez książąt i bogatych panów szląskich stało się też przyczyną, że na stolicę biskupią niejednokrotnie rozmaici możni swoich pragnęli wprowadzić. Tak rodzina cesarska, tak i dwór królewski polski zalecali swoich kandydatów w owych czasach, kiedy mogli na te sprawy wpływ wywierać przemożny.

Wtedy jednak niejednokrotnie doświadczenie i pobożność biskupów sufraganów lub oficyałów biskupich i kapituły wrocławskiej niemało przysłużyły się dobru tej obszernej dyecezyi. W owych pierwszych czasach biskupstwa nie brakło biskupów świątobliwych i wzorowych, doznających ogólnej miłości, szacunku i czci. Atoli kardynała nie znajdujemy pomiędzy nimi, aż sto lat i więcej po wystąpieniu luteranizmu, po zakończeniu wojny trzydziestoletniej.

Raz tylko w owej dalekiej przeszłości miał biskup wrocławski dostąpić purpury kardynalskiej, ale pokorą wie-

dziony, nie przyjął jej. Był nim Wacław, książę lignicki, biskup wrocławski, panujący od r. 1382—1418, w czasie, kiedy w Czechach św. Jan Nepomucki zyskał koronę męczeńską.

Pierwszym kardynałem na stolicy biskupiej wrocławskiej był Fryderyk, hrabia Hesyi i Darmstadtu od roku 1671—1682, urodzeny roku 1616 w Homburgu i wychowany religijnie, lecz według pojęć rodziców protestanckich. Licząc lat 20, przebywał niejakiś czas w Rzymie, odwiedził także wyspę Maltę, leżącą na południe między Włochami a północną Afryką. Na niej miał naówczas siedzibę zakon rycerzy maltańskich, broniący chrześcian od napadu mahometańskich Maurów afrykańskich.

Tu w Rzymie i na Malcie zachwycił się młody książę pięknością i wspaniałością świętych obrzędów wiary katolickiej i nie wahał się przyjąć łaski i prawdy, którą Bóg przez nie raczył mu zwiastować. Roku 1637 powrócił na łono Kościoła i został przedniejszym rycerzem zakonu maltańskiego. Dwadzieścia jeden razy wyprawiał się w obronie chrześcian przeciw Turkom, skutkiem czego został przeorem wielkim i mistrzem



J. E. KSIĄDZ KARDYNAŁ DR. KOPP,
KSIĄŻĘ-BISKUP WROCŁAWSKI.

zakonu narodowości niemieckiej. Roku 1652 uwieńczył go papież oznakami kardynalskiemi. Został potem kanonikiem i dziekanem kapituły wrocławskiej. 3-go Września r. 1671 przeważną większością głosów wybrany został biskupem wrocławskim.

W 4 lata potem czasy się nieco poprawiły, albowiem w Listopadzie 1675 roku zmarł ostatni z wnuków Piasta, Jerzy Wilhelm, książę na Lignicy, Brzegu i Wołowie, ostatni potomek Fryderyka II na Lignicy, który sam zaprowadził luteranizm do rodziny swojej i krajów. Księstwa wróciły teraz według prawa lennego do korony czeskiej czyli pod berło cesarza niemieckiego. Cesarz zaś oddawał zwolna katolikom odebrane im niegdyś kościoły i budynki kościelne; liczba tychże wyniosła około 100.

Pobożny kardynał odnowił starodawny i teraz jeszcze wykonywany święty zwyczaj, naówczas przez półtora wieku nie widziany we Wrocławiu, według którego na wzór Zbawiciela biskup dwunastu ubogim starcom we Wielki Czwartek umywa nogi.

Od półtora bowiem wieku Wrocław nie wiele widywał u siebie swoich biskupów, — może dla tego, że nieprzyjaźń odpadłego większą częścią miasta stała im się nadal nieznośną, szczególnie w czasach, kiedy spanoszeni Wrocławianie oczywistych na katolikach dopuszczali się gwałtów. Zabierali bowiem świątynie pańskie dla rzekomych szerzycieli »ewangelii«, a właściwie dla zwolenników herezyi luterskiej. Biskupi przebywali wiele w Nysie lub nawet za granicą. Na uroczystość umywania nóg kazał kardynał bić medale, które potem rozdawano pomiędzy lud zgromadzony. Niemniej postarał się, aby wszędzie po całej dyecezyi odbywały się wizytacye, chcąc przez to wykorzenić liczny kąkol zarosły przez czas długi we winnicy Pańskiej, usunąć nierząd, niecnoty i bezprawie, co do pasterzy niemniej jak co do trzód duchownych, uprawić znowu rolę, gdzie była zaniedbaną, odnowić życie duchowne w zakonach i parafiach, podnieść upadłe świątynie boże, które wojna 30-letnia, a raczej zuchwała i drapieżna ręka luterskich Szwedów lub Duńczyków albo zburzyła albo z majątku, lub z sprzętów świętych lub ubogiego grosza kościelnego odarła. W taki bowiem sposób szerzyli ci »oswobodziciele« sławną swoję »ewangelią«.

Wdzięczny za nieprzebrane łaski boże, zaprowadził kardynał Fryderyk procesyą Bożego Ciała przy katedrze wrocławskiej r. 1676, rok później u św. Wincentego. Za jego staraniem sprawiła kapituła baldachim nowy i wielce kosztowny, który do dzisiaj przy procesyi Bożego Ciała używany bywa; sam biskup, bez obawy przed niechęcią mieszczan protestanckich, niósł w procesyi odprawianej po ulicach miejskich Przenajświętszy Sakrament, jak to i dzisiaj jeszcze się dzieje.

Cesarz zamianował go najwyższym hetmanem ziem szląskich i trzeba powiedzieć, że panowanie jego tak świeckie jak szczególnie duchowne było dla Szląska błogie i szczęśliwe. Za niego też założony został dom dla księży emerytów w Nysie, a ustanowiona zgoda między biskupem i zakonem Cystersów co do dochodów. Od czasów kardynała Fryderyka miewają też kanonicy wrocławscy mucetę (płaszczyk) purpurowo-czerwony. Pod koniec życia swojego r. 1680 zaczął gorliwy kardynał - biskup budowę kaplicy św. Elżbiety, pramatki swojej, przy katedrze wrocławskiej i ufundował przy niej utrzymanie dla 6 księży i 4 msze św. za siebie i krewnych, lecz nie doczekał się ukończenia kaplicy; gdyż umarł już r. 1682.

Ośm lat później po ukończeniu kaplicy, pochowano w niej szczątki wielkiego kardynała, serce zaś przeniesiono na ulubione mu miejsce, do kościoła kolegiackiego w Nysie.

Drugim w rzędzie kardynałów wrocławskich był Filip Ludwik hrabia Sinzendorf, urodzony w Paryżu r. 1698, gdzie ojciec jego był posłem cesarza niemieckiego. Pierwsze nauki pobierał we Wiedniu, później ćwiczył się do stanu duchownego w kolegium Jezuitów w Rzymie. Niezwykły talent, przyjemne

obejście się z ludźmi i wysokie stanowisko ojca, który r. 1712 został nawet ministrem cesarskim, wielu zjednało mu przyjaciół i wielbicieli.

Roku 1722 otrzymał święcenie kapłańskie i już 3 lata później zostaje biskupem rabskim na Węgrzech. Za przyczyną dworu angielskiego i szczególnie na prośbę Augusta II, króla polskiego, zamianował go papież Benedykt XIII roku 1727 kardynałem. Papież Klemens XII nadał mu godność kardynała-kapłana z tytułem kościoła Najśw. M. P. sopra Minerva w Rzymie.

Po śmierci księcia-biskupa Franciszka Ludwika, palatyna nadreńskiego, dwór cesarski wszelkich dokładał starań, aby nikt inny jak biskup rabski kard. hr. Sinzendorf odziedziczył »złote biskupstwo« wrocławskie, i to nie bez trudności, gdyż kanonicy wrocławscy nieomal wyłącznie byli za wyborem biskupa sufragana Sommerfelda. Nareszcie kard. Sinzendorf sam już przybył do Wrocławia i zamieszkał tymczasem u kanoników św. Augustyna na Piasku. Posłowie cesarscy nie ustawali nalegać, aby wybrać kardynała na biskupa i nareszcie został też wybrany, szczególnie zaś głosami kanoników z kraju na wybór zwołanych. Nareszcie objął stolicę biskupią w Listopadzie r. 1732.

Najważniejsze z jego czasów postanowienia duchowne są: Najprzód rozporządzenie, że wszelkie książki treści religijnej podawane być mają pod sąd biskupi, aby w nich nie szerzyło się nic przeciw wierze i dobrym obyczajom; następnie ustanowiony został pewien porządek co do tego, jakie biskup a jakie kapituła mają prawo co do sądownictwa świeckiego w dobrach kościelnych. W tym też czasie uchwaliła kapituła, że na kanoników mają się wybierać tylko duchowni pochodzenia szlacheckiego, co widocznie jednak prawem nie pozostało. Dalej wydał kardynał Sinzendorf r. 1736 23-go Sierpnia okólnik względem szkół i wychowania młodzieży.

Roku 1738 ojcowie Jezuici odbywali misye w księstwach mynsterbergskiem, jaworskiem i głogowskiem, również jak we Wrocławiu i Środzie dla nawrócenia protestantów. Około tego czasu cesarz zakazał przybierania na chrzestnych niekatolików i wychowania sierót po małżeństwach niekatolickich przez poręczników, opiekunów katolickich. Nieco później rozporządził biskup kard. Sinzendorf, że młodzi duchowni przynajmniej pół roku odbywać mają osobne przygotowanie w alumnacie do stanu kapłańskiego.

Smutne zaczęły się czasy dla naszego kardynała, kiedy r. 1741 w pierwszej wojnie szląskiej króla Fryderyka II przeciw koronie cesarskiej wojsko pruskie obsadziło wyspę tumską we Wrocławiu. Biskup wierny cesarzowi, udał się do Freiwaldau za Jawornikiem w Szląsku, teraz austryackim. Niedługo jednak potem został schwytany przez wojsko pruskie, i najprzód osadzony w zamku Odmuchowskim, potem 13-go Kwietnia przez żołnierzy zawiedziony do Wrocławia, lecz po pięciu dniach znowu wypuszczony na wolność. Odtąd ze strony nowego rządu zachodzą liczne mięszania się do spraw kościelnych, pomimo że król Fryderyk zapewnił Kościołowi szląskiemu prawa wszystkie, jakie tenże miał poprzednio. Nie będzie się temu dziwił ten, kto wie z ksiąg, jak ów król niezwykle postronne i niesłuszne miał zdanie o katolikach szląskich. Równocześnie podniosła się zaraza masoneryi, przeciw której wystąpił biskup w rozporządzeniu wystósowanem przeciw tajemnym związkom. Na ostatku obrano dla niego biskupa »pomocnika«, któremu Stolica św. jednak potwierdzenia odmówiła. Roku 1747 po powrocie z wyboru biskupa w Salcburgu, umarł kardynał Sinzendorf we Wrocławiu, dnia 28 Września 1747. (Ciąg dalszy nastąpi.)



WOLNY! (Zobacz objaśnienia rycin na str. 48.)

(Zobacz objaśnienia rycin na str. 48.)

O zwyczajach i obyczajach dolnych Łużyczan i o ich siedzibach.

I.

Już się dawniej wspomniało w »Świetle«, że rozróżniać należy Górne i Dolne Łużyce. Pierwsze dzielą się na dwie części, na część: wschodnią, w granicach prowincyi szląskiej się znajdującą, tam gdzie powiaty lubeński (Lauban), rotenburski, zgorzelicki (Görlitz) i wojerzecki (Heuerswerda) leżą i na zachodnią, w królestwie saskiem położoną, gdzie leży Budyszyn, Cytowa, gdzie wierzchołki gór »Czarnybóg« i »Białybóg«.

Dolne zaś Łużyce mieszczą się głównie w prowincyi brandenburskiej i obejmują 6834 kw. klm. z 400,000 mieszkańcami, pomiędzy którymi mniejwięcej 55,000 łużyckich żyje Serbów. Najznaczniejszemi miastami tu są: Chociebuż (Cottbus), Gubień (Guben), Kałów (Kalau), Libeń (Lübben), Lubianów (Lübenau), Tszupc (Straupitz) i inne.

Dolne Łużyce leżą nisko. Najniższą ich częścią jest tak zwany Serbski Las. Jest to trzy mile kwadratowe obejmująca nizina, poprzerzynana w niezliczone ramiona dzielącą się tu Sprewą, która, dla prawie zupełnego braku spadku, nadzwyczaj wolno się tocząc, więcej ma pochopu do rozlewania się i tworzenia jezior, stawisk, bagien i moczar, niż do rączego dążenia ku ujściu.

Że samowola taka leniwej rzeki zmusiła Dolnołużyczan do bardzo uciążliwego zachodu, a mianowicie do sypania licznych grobli, upustów, do kopania rowów i kanałów, by tylko do jakiego takiego ładu i pożytku rzekę-psotnicę zmusić, łatwo się domyślić.

Wśród labiryntu tego wyobraźmy sobie mnogie wyspy i wysepki, obszerne olszowe ustępy, nadbrzeżnej wierzbiny długie szeregi, gęste miejscami lasy, po podniosłych wyrębach i pomiędzy jeziorami pola i łąki, pomiędzy rowami a kanałami ogrody i łąki, a jedne i drugie tysiącletnią, niesłychanie mozolną pracą nasypami wodzie wydarte, — a może będziemy mieli słabe pojęcie o Lesie Serbskim.

Gdzie ziemia dobrze wzdęta, tam osady, tam wsie. Gdzie do wzgórza było daleko, tam na polach, wśród trzęsawisk i zarośli budowali się łużyccy Serbowie. Pełno tu mostów, mosteczków i kładek.

Osady tu są dostatnie; w ziemi ludzie starannie i dobrze robią, konie i bydło porządne i w dobrym gatunku mają — aż się serce śmieje, mianowicie, gdy się dowiesz, że to lud słowiański tak się odznacza.

Przy robocie dziewczęta w bieluchnych koszulkach, barwistych spódniczkach, — jak do tańca. Chłopaki zaś w białych płóciennych katankach, a gwarno, a wesoło, że aż tętni. Jedyni ludziska!

Las tu się znajdujący był kiedyś bardzo obszerny. Dziś dzielą się jego resztki na las górny i las dolny. Pierwszy się poczyna od wsi Przewozu (Fehrow) i ciągnie się na południe; drugi ku północy do miasta Lubienia. Miasto to za stolicę resztek Wendów czyli serbskich Łużyczan i za ognisko ich narodowości uważać należy.

Górny las nazywają Wendowie Błotami; ale bo też tu Sprewa w jakie 300 ramion, odnóg i odnożek się rozpada. Istna sieć wodna! Często jakoby najpiękniejszemi alejami płynie tu woda, górą z zieleni sklepienie, po prawej i po lewej ręce zieleni gęstwinę mając.

Poszczególne części Sprewy mają tu osobne nazwy, jak np. Płużnica, Młyńska, Tońska, Wrbowna, Stogasz, Luźna i inne. Wszystkie zresztą ramiona, młyny pędące, zowią się »Młyńskiemi«.

Las Serbski dziś jeszcze, szczególniej w tych częściach, do których kultura »podcinająca« jeszcze nie dotarła, nadzwyczaj uroczo się przedstawia, a mianowicie w okolicy Lipy (Leipe) i Tszupc. Tam widzisz srebrzyste zwier-

ciadło wody w rozlicznych zakrętach; do nich tulą się zielonych wonnych łąk kobierce. Ówdzie wyziera ze stawiska kołyszącem się zbożem pokryta wyspa, wśród zbóż zaś zagroda. Tuż obok masz ostrów, zdobny w majestatyczne dęby, buki i wiązy, a pomiędzy książęty tymi, »białogłowy lasu«, brzozy, osice i olchy śmiało i smagle wznoszą zielone swe czoła; tuż pod lasem znów zagrody.

Ale i życia nie brak w Serbskim lesie. Tam słychać młyna jednostajnie kołatanie, tu młyn inny pierwszemu odpowiadać zdaje się. Ruszy się wiatr, a cała puszcza tajemniczym, tęsknym zagra szelestem, bąk w zaroślach głuchem wołaniem się odezwie, derkacz w młodem zbożu zagrzechoce, czajka zakrzyczy, rzucając się w powietrzu i — znowu spokojnie w około. Naraz pada strzał; pada drugi i trzeci.... Słychać głośne hop! hop! i niebawem z rozmaitych stron zmierzają ku sobie czołna, a w każdem jeden lub dwóch myśliwych — to polowanie. I brzmi las głośnym gwarem, nowe słychać nawoływanie. Naraz wysuwa się z za ostrowu wąziutkie czołenko dziobiaste i mknie się wartko wodnymi zakręty: to listonosz, albo sługa gminny, albo też żandarm lub borowy powołaniu swemu czyni zadość. Albo też na szerokim, czworobocznym statku, podobnym do pramu, gromadka dzieci spieszy do szkoły, lub ludzie do kościoła jadą, — bo tu wszystko odbywa się na wodzie lub wodą, jak w Wenecyi jakiej! Tu czołno wierzchowcem i wozem. Tu żniwne zbiory zwożą czołnami, czołnami wywożą nawozy; tu z pogrzebem żałobnicy, z weselem godownicy, lekarz i kapłan do chorego, sąsiedzi w gościnę, chrzestni ze chrztem do kościoła — wszystko czołnami się odbywa.

To też Dolnołużyczanie po mistrzowsku władają wiosłami: starzy i młodzi, dzieci i podrostki, dziewczęta i kobiety. Nawet ciemną nocą, wśród gąszczu, zarośli i pod grubem sklepieniem zieleni, jakoby błędne duchy przesuwają się z czołnami z dziwną pewnością i chyżością tutejsi Serbowie.

Przecież najwspanialej i bardzo uroczo przedstawia się nasz melancholiczny kraik (piętno to, mimo ożywienia w niektórych porach roku, mimo śpiewu i świergotu licznego ptastwa wyraźnie na sobie noszący), gdy księżyc bladem swem światłem krajobraz obleje. Wtenczas to odwieczne dęby, wiązy i buki, żywe świadki dawnych bojów Słowian z germańskim najazdem, ramiona ku niebios sklepieniu wyciągać zdają się. Czy ze skargą?....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O GĄBKACH.

Każde dziecko szkólne używa gąbki do wycierania tabliczki, starsi używają ich też do innych rzeczy. Mało kto jednak wie coś więcej o gąbkach. Przeto się tu podaje nieco wiadomości o nich.

W małej cieśninie pomiędzy New-Prowidence a wyspą Hog, należącemi do wysp Bahamskich (w Ameryce) przy porcie Nassau, zawsze można widzieć liczną flotę żaglowych czołen, z których każde może pomieścić do ośmiu ton ładunku. Statki te są dziwnej budowy, szerokie a krótkie, wznoszą się po nad wodą na kilkanaście stóp i mogą pomieścić wielką ilość towarów. W środku ich pokładów znajdują się duże pudła nawpół napełnione popiołem, służące za ognisko, na którem osada statku gotuje swe pożywienie.

Na tych czołnach zajmują się murzyni połowem gąbek, stanowiących miejscowy przemysł, który daje zajęcie czterem tysiącom ludzi, na pięciuset statkach. Statki te należą do dziesięciu miejscowych kupców, zajmujących się

dostawianiem gąbek do wszystkich krajów. Handel gąbkami przynosi rocznie trzykroć sto tysięcy dolarów*). Dziś uważają Nassau za główny skład wywozowy gąbek na świat cały, i to tylko stanowi jego znaczenie pod względem handlowym.

Naturaliści długo pozostawali w niepewności co do natury i początku gąbek. Przed kilku jeszcze laty, większa ich część mniemała, że stanowią one jedną z niezliczonych klas roślin podmorskich, wszakże późniejsze badania uczonych przekonały, że gąbka posiada organizm zwierzęcy, jest zaopatrzona żołądkiem, który trawi i wyrzuca z siebie materyę zapłodową. Żywa gąbka zabiera z wody morskiej, przechodzącej ustawicznie przez jej otwory, drobniutkie źdźbła trawy morskiej, które widocznie służą jej za pokarm. Przepływająca woda morska zabiera z sobą wydzieliny gąbek wychodzące większymi kanałami.

Żywa gąbka wydobyta z wód Bahama, tak się różni od artykułu znanego w handlu, jak ciało ludzkie od swego szkieletu; w rzeczywistości bowiem to, co się dostaje do handlu, jest po prostu szkieletem morskiego organizmu gąbki. Gąbka w chwili oderwania jej od skał, na których rośnie, wygląda jak pomarszczona masa kitu, używanego przez szklarzy, równie jest ciężka i tego samego szarego koloru. Wydaje niemiłą woń — i napełniona jest włóknistym ślizkim szlamem, który z niej długiemi wypływa strumieniami. W porach (czyli otworach) jej zewnętrznych gnieździ się rodzaj pluskwy morskiej, która musi być uciążliwym gościem dla gąbki; niekiedy zaś głęboko pomiędzy włóknami gąbki, znajduje się czerwony robak, długi na dwa cale.

Nie zbadano jeszcze dotąd, jaka jest czynność ślizkiego szlamu, — lecz pewną jest rzeczą, iż skoro wyciekający z gąbki padnie na pokład skały, powstają z niego nowe gąbki. Dwa kawałki tej samej żywej gąbki, lub kilku gąbek tego samego rodzaju, położone obok siebie na dnie morza, wkrótce ze sobą się zrastają.

Negrowie zajmujący się połowem gąbek w pobliżu wysp Bahamskich, należą do żeglarzy odznaczających się nie bardzo dobrymi obyczajami i moralnością. Wiodą oni życie dosyć smutne, dużo się narażają i pozostają w niedostatku. Na statkach nie mają żadnej wygody, chociaż bardzo ciężko pracują, przytem są zbytecznie natłoczeni, co w klimacie mniej zdrowym, pociągnęłoby za sobą bardzo niebezpieczne następstwa. Wyprawa na połów gąbek, trwa sześć tygodni. Dziś najbardziej wyzyskują dno morskie, składające się z pokładów koralowych, na południowej stronie wyspy Eleuthera, pięćdziesiąt mil na wschód od Nassau. Przy dobrym wietrze, statki wychodzące z portu Nassau, dostają się tamdotąd w osiem godzin. Tam się zaczyna uciążliwa praca. Negrowie leżąc piersiami na pokładzie wzdłuż obwodu statku, trzymają jedną ręką za rękojeść pudełka, którego górne i dolne dno jest ze szkła, stawiają je na falach; przez nie spoglądają w głębokość morską wynoszącą do czterdziestu stóp. W drugiej ręce każdy murzyn ma cienki, bardzo długi kij, zaopatrzony przy końcu podwójnym haczykiem. Skoro dostrzeże gąbkę, zapuszcza haczyk pod nią, nagłym ruchem ją odrywa i wciąga na pokład.

Krótki ten opis dotyczący połowu gąbek, nie daje należytego wyobrażenia o zręczności i ciężkiej pracy, jakiej ta czynność wymaga. Łowiec musi nabyć wiele doświadczenia, zanim się nauczy spoglądać przez wodę i rozróżniać gąbki zdatne do handlu od tych, które żadnej nie mają wartości; musi mieć bardzo zręczną rękę, aby nie rozedrzeć gąbki przy odrywaniu jej od skały i wyciąganiu. Ponieważ zaś statek wciąż się kołysze, raz się podnosi, to znów zniża, przeto potrzeba wielkiego natężenia oka i ciała. Dodajmy do tego przykre położenie łowiących gąbki, wystawionych na wiatr i wilgoć, skutkiem których niemal wszyscy stają się ofiarą reumatyzmu, a będziemy mieli pewne wy-

*) Dolar równa się 4 markom.



Zabijanie ptaków wędrownych przy świetle elektrycznem. (Obacz obj. rycin na str. 48.)

obrażenie o uciążliwości tej pracy, za którą murzyni pobierają tylko piętnaście dolarów miesięcznie i otrzymują nędzne utrzymanie na statku.

Wszystkie wody Bahamskie obfitują w gąbki rozmaitego gatunku, ale wiele ich nie posiada żadnej wartości handlowej. Dziwna rzecz, że te ostatnie nieraz są bardzo pięknej postaci; jedne np. mają formę szklanki, drugie myśliwskiego rogu, inne znów wielkiego pęka mchu, lub też rozgałęziają się jak koral. Gąbka postaci puhara, znaleziona przed kilku laty na wodach Bahamskich, o której mówią, że jest drugą na całym świecie pod względem wielkości, miała siedem stóp obwodu, a ściany jej były grube na cztery do sześciu cali.

Parę lat temu, zdawało się, iż zmniejszyła się ilość gąbek na wodach Bahamskich, — lecz wynalezienie dna Eleuthery, stało się prawdziwym skarbem dla łowiących gąbki — i wystarczy co najmniej na kilka lat.

Po wydobyciu gąbki z dna morskiego, następuje jej przygotowanie do handlu wywozowego. Najprzód układają ją na pokładzie, wystawiając na działanie słońca podzwrotnikowego, lub zawieszają na małych masztach statku. Gorąco słoneczne w przeciągu kilku dni zabija wszystkie żyjące organizmy wewnątrz włókien. Tak przygotowane gąbki umieszczają murzyni na piasku pomiędzy palikami, wbitymi w ziemię i pozostawiają dalsze jej oczyszczenie morzu. Fale morskie przypływając i odpływając, zabierają wszelkie nieczystości w gąbkach się znajdujące tak, że po kilku godzinach gąbkę tylko już wysuszyć wypada. W czasie tej operacyi gąbki wydają woń nadzwyczaj niemiłą, cuchnącą, — lecz po ostatecznem wymyciu przez fale, nabierają zapachu wody morskiej, z jakim przybywają na nasze rynki. W Nassau nie zajmują się większem ich oczyszczeniem, lecz gdzieindziej zanurzają je jeszcze w rozcieńczonym roztworze kwasu solnego, który nie tylko je bieli, lecz i niszczy wszelkie szczątkie nieczystości. Po wysuszeniu rozdzielają je i pakują.

Gąbek jest bardzo wiele gatunków. Pomiędzy innemi są tak nazwane »sheep wool«, za funt których płaci się dolara i 75 centów; »abaco velvet«, tak nazwane z powodu swego włókna aksamitnego, tych funt kosztuje dolara i 10 centów; i gatunki zwane »glove« (żółty) koloru trawy, sprzedawane po pięćdziesiąt centów za funt. Wypada jeszcze dodać, iż przed opakowaniem niższe gatunki gąbek obcinają nożyczkami, a duże gąbki tną na kawałki, wielkości kokosowego orzecha. Najlepsze gąbki są miękkie, jakoby wełniste pod dotknięciem i odznaczają się szczególną mocą włókien.

Wyspy Bahamskie tak obfitujące w gąbki, nie wiele dostarczają wyższych gatunków, używanych przez lekarzy. Te gąbki pochodzą z morza Śródziemnego, a niektóre najwyższe gatunki, sprzedają się po pięćdziesiąt do stu dolarów za funt.

Handel gąbkami nadaje Nassau dziwną postać. Małe czółna cisnące się tłumnie w porcie, magazyny stojące nad jego brzegiem, — giełda gąbkowa, gdzie można widzieć stosy gąbek najrozmaitszego gatunku, kształtu i wielkości, — czynią ten port jednym z najbardziej ruchliwych w całych Indyach Zachodnich, a może nawet na całym świecie. Gąbki pokrywają nadbrzeża, — ich kawałki poszarpane pływają po porcie; wielkie kupy skrawków leżą na piaskach, lub podrzucane przez fale pokrywają całe wybrzeża, a nawet i miasto. Przewoźnik twój murzyn, gdy zażądasz, skoczy do wody w porcie, aby ci wydobyć z morza nowy gutunek gąbki, a na brzegach, na rogach ulic stojący negrowie, nudzą cię ofiarując się z tą samą usługą. Wszędzie oko napotyka same tylko gąbki.

Ufność wynagrodzona.

Zdarzenie prawdziwe.

Pewnego wieczora letniego szedł młody człowiek odludnym traktem we Węgrzech. Był to rzemieślnik, który w najbliższem mieście otrzymać miał stale zatrudnienie. Dzień był skwarny i z radością powitał Jan — tak było na imię młodzieńcowi — mrok wieczorny, bo razem ze słońcem, które w purpurowej szacie zachodziło za górami, szarzejącemi z dala na widnokręgu, znikał także upał dzienny, który znużonemu wędrowcowi wielce dopiekał.

Droga spuszczala się teraz ku pięknej zielonej dolinie, około której w oddaleniu jednej ćwierci mili las roztaczał się gęsty. Na krańcu lasu stała mała kapliczka, ozdobiona wizerunkiem Ukrzyżowanego i obrazami Świętych. Na krzyżu zawieszony był świeży kwiatów wieniec, który pobożna ręka niedawno tam widać złożyła. Jan pomodlił się cokolwiek i szedł dalej. Gdy już daleko zaszedł w las, usłyszał gwar kilku głosów. Przystanął i spojrzał ku stronie, skąd głosy się zbliżały. Ogarnęła go przytem pewna trwoga, której się nie mógł opędzić. Niezadługo też wyjaśniła się mu przyczyna tej trwogi, bo z po za krzaków wyskoczyło kilku dzikich zbrojnych ludzi i rzuciwszy się na bezbronnego młodzieńca, zawlekli go z sobą w las.

Jan poznał okropność swego położenia; wpadł w ręce rabusiów. Podczas, gdy go przez gęstwinę gwałtem uprowadzali, wołał kilkakrotnie o pomoc, ale głos jego przebrzmiał, nikt z ludzi go nie słyszał, sam tylko Bóg, przed którym nic utaić się nie może.

I w Bogu też Jan ufność swoją położył, jak to zwykł był czynić od samej młodości. Jego woli się poddał w cichej modlitwie, przyjmując bez szemrania wszystko, cokolwiekbądź spotkać go mogło. Coraz gęstszym stawał się las i z trudnością tylko zdołali rabusie przezeń się przedrzeć.

Tymczasem zupełnie się ściemniło, a Jan nie zdołał już żadnego rozróżnić przedmiotu. Naraz wielka uderzyła go światłość. W pośrodku małej nowiny wśród lasu, pod rozłożystym dębem, którego konary nad całą prawie roztaczały się nowiną, wielki palił się ogień, około którego kilka leżało osób.

Na widok przybywających zerwali się na nogi i z dzikim krzykiem pobiegli ku przybyłym. Byli to także opryszki, którzy się radowali z tego, że towarzysze ich pochwycili zdobycz.

Jana przyprowadzono przed herszta, który pozostał był przy ogniu. Herszt, silnie zbudowany mężczyzna z ognistem spojrzeniem i złowrogim wyrazem twarzy, podniósł się i zmierzył Jana zasępionym, nic dobrego nie wróżącym wzrokiem.

Poznał też Jan zaraz, że od tego człowieka niczego dobrego spodziewać się nie może. Nie długo trwało, a odebrano mu wszystko, co miał, wszystek zaoszczędzony grosz, którego było niemało, poczem odezwał się herszt do Jana:

— Musisz umrzeć, abyś nas nie zdradził. Umarły nie gada.

Jan zbladł na te słowa, a trwoga przeniknęła go na chwilę. Któżby w podobnym przypadku mógł być obojętnym. Po kilku minutach jednakże zapanował nad sobą i uspokoił się zupełnie. Nie zdradzając najmniejszej trwogi, patrzał spokojnie w oczy hersztowi, który zdziwiony zapytał:

— Albo mnie nie rozumiałeś, albo jesteś głuchym, bo nie pojmuję, jak możesz być tak spokojnym.

— Zrozumiałem dobrze, — odrzekł Jan spokojnie — słyszałem, że mam umrzeć. Chcecie popełnić wielką zbrodnię, chcecie mię zgładzić ze świata, abym nie mógł wystąpić jako wasz oskarżyciel. Ale ja się nie boję, — dodał podniesionym głosem, — możecie mi grozić, jak wam się podoba. Życie

moje w ręku Boga i bez jego woli nic mi się złego nie stanie. Jeżeli taka wola Boga, abym teraz zeszedł z tego świata, natenczas jej się poddaję, a jeżeli Pan Bóg nie chce, abym umarł, natenczas pomimo waszych zamysłów nic mi złego nie będziecie mogli uczynić.

Na te słowa milczał opryszek przez chwilę i potem się odezwał:

— Czy to twoje wewnętrzne przekonanie, co powiedziałeś?

— Tak jest.

— I sądzisz, że nic ci złego zrobić nie mogę, jeżeli tego Pan Bóg nie chce?

— Nie inaczej.

— Wierzysz, że Bóg widzi wszystko i wszędzie się moc jego rozciąga?

— Wierzę.

— A jeżeli cię pomimo tego zastrzelę?

— Mogę to tylko powtórzyć, co już powiedziałem: chyba taka wola Boża; bez niej włos mi z głowy nie spadnie.

Opryszek potrząsł głową. Nie zdarzyło mu się jeszcze widzieć człowieka, któryby tak był spokojnym w obec grożącej mu śmierci. Po chwili namysłu podniósł fuzyą i mierząc do Jana, rzekł:

— A więc umieraj!

Spokojnie odpowiedział Jan:

— Niech się dzieje wola Boża. Gdyby Pan Bóg nie chciał, abym umarł, mógłby cię w tej chwili powalić o ziemię i nagłą ukarać śmiercią. Albo więc wypełnisz wolę Bożą, albo też doznasz w swym zamiarze przeszkody, ale wbrew woli Boga mnie nie zabijesz.

Opryszek opuścił broń — nie mógł strzelić. Niezachwiana ufność Jana rozbroiła go zupełnie i odebrała mu odwagę popełnienia zbrodni. Długo wpatrywał się w Jana, potem rzekł:

— Więcej niż jednego człowieka życie mam na swojem sumieniu. Nie wiem, zkąd to pochodzi, że tobie nic złego zrobić nie mogę — nie mogę, chociaż chciałem doprawdy!

I stała się rzecz niesłychana: opryszek nietylko bez przeszkody pozwolił mu iść dalej, puszczając go na wolność, ale nadto oddał mu wszystko, co mu był zabrał.

Dwadzieścia lat upłynęło od owego czasu, — Jan był dobrym i zamożnym rzemieślnikiem. Dzieciom swoim i wszystkim, którzy go znali, opowiadał często tę historyą, że tylko niezachwianej swej ufności w Bogu zawdzięcza, iż uszedł niechybnej śmierci.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Zabijanie ptaków wędrownych. Pomysłowi handlarze niektórych krajów urządzają polowania na ptastwo, w porze, gdy do innych krajów odlatuje. W tym celu ustawiają przyrządy ze światłem elektrycznem, które wielki blask wydając, ptactwo ku sobie wabi. Kilkudziesięciu strzelców czeka ze strzelbami i pali do nadlatujących gromad ptaków, sprzątając oczywiście wielkie żniwo. Obrazek w dzisiejszym numerze przedstawia taką chwilę.

Wolny! Piękny obraz w dzisiejszym numerze z tym podpisem przedstawia rozczulającą scenę, gdy oskarzonego o wielkie przestępstwo lub zbrodnię człowieka sąd uwolnił od winy, a żona z dzieckiem go wita. W powieści p. t. »Niewidomy świadek« opisane takie wydarzenie.

Obraz ten przypomina też, że w wielu krajach brak przepisu prawnego, jak nagradzać krzywdę, wyrządzoną ludziom niewinnym, którzy z powodu podejrzenia, jakie na nich padło, dłuższy czas we więzieniu śledczem lub karnem przesiedzą; których sądowy wyrok potępi, a niewinność ich dopiero po latach się wykaże. W Prusach nie ma takiego przepisu a byłby bardzo potrzebny, bo zdarza się, że ludzie niewinnie w śledztwie lub więzieniu przesiedzą. Posłowie dopominają się o wydanie odnośnego prawa i dobrze czynią, albowiem człowiek taki zwykle zrujnowany zostaje materyalnie a zawsze pohańbiony na czci. Niechby tedy przynajmniej materyalną stratę wynagrodzono, gdy moralnej szkody naprawić już nie sposób.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Jak usunąć z pokoju zapach tytuniu?** Wiadomo, że pokój w którym palą, nabiera z czasem woni bardzo nieprzyjemnej; można ją usunąć zapomocą starannego przewiewania przez otwieranie drzwi i okien, oraz przez palenie siarki na płaskiem naczyniu. Sprzęty i dywany powinny przez kilka dni pozostać na świeżem powietrzu, firanki należy wyprać. Amerykanie mają bardzo prosty sposób pozbycia się z pokoju odoru tytuniu: palą w nim suszone skórki pomarańczowe.

— **Atrament wieczysty.** Atrament nie pełznący nigdy, przygotowuje się w następujący sposób. Rozpuszcza się dowolną ilość żywicy ziemnej zwanej w handlu asfaltem lub smołą żydowską przy wolnym ogniu w takiej ilości terpentyny, o tyle, o ile potrzeba by zrobić z tego płyn, lecz nie zanadto rzadki.

Płyn ten jest wybornym atramentem dla dokumentów i pism mających trwać wieki. Chcąc atrament ten uczynić lepszym, dodaje się jeszcze stósowną ilość dobrych sadzy i nieco pokostu bursztynowego.

— **Najlepsza woda kolońska.** Rozpuszcza się 8 gram. olejku bergamotowego, 4 gram. olejku cytrynowego, olejku neroli 20 kropli, 6 kropli olejku z Origanum majorana, olejku rozmarynowego 20 kropli, wody pomarańczowej 30 gram. w 60 dekagr. najczystszego spirytusu, filtruje i zlewa do butelek

— **Kit do spajania szkła i porcelany.** Wziąść 18 gram. karaku rybiego, mastyxu 9 gram.. soku czosnkowego łyżkę pełną, kleju stolarskiego 6 gram., spirytusu winnego szklankę, zarobić z tego masę, którą spaja się stłuczone miejsca i w spokoju przez kilka godzin pozostawia. Naczynie w ten sposób tak silnie się sklei, że nawet w wrzącej wodzie miejsca sklejone nie rozejdą się.

— **Pożywienie dla kanarków.** Najlepiej dawać tymże rzepak; dwa lub trzy razy w tygodniu na twardo gotowane, drobno posiekane jaje; przydając do tegoż i mieszając, pokruszonej bułki i maku. Od czasu do czasu zwłaszcza, gdy są słabe, daje się im owsa zszrutowanego, gdy zaś się zapasają i nie śpiewają, daje się im nasienie sałaty. Zaparzonemi nasionami jak i moczoną bułeczką nie powinny być nigdy karmione.

— **Suknie ze satyny** ciemne najlepiej krochmalić we wodzie klejowej. Pewna ilość kleju rozgotuje się i wlewa tyle do wody, że gdy się ręce w nią włoży i rękę jednę o drugą potrze, uczuje się, że jest cokolwiek klejowata. Jasne zaś satyny lepiej żelatyną krochmalić; na litr wody bierze się 30 gramów żelatyny i stawia się na gorącem miejscu dopóki się nie rozpuści.

— **Plaster przeciw reumatyzmowi.** Rozpuszcza się równe części kalafonii, bursztynu, wosku i małej ilości żywicy. Masę tę gorącą jeszcze rozciera się w cienkiej warstwie na płótnie, przykłada do miejsc bolesnych i pozostawia, dopóki nie odpadnie sama.

Żywienie trzody chlewnej.

Wiadomo, że chów trzody chlewnej stoi najwyżej w Anglii. Chlewy są murowane, nadzwyczaj czysto utrzymywane, a na ogrodzonych brukowanych dziedzińcach używa trzoda ruchu i świeżego powietrza. Oprócz tego znajdują się prawie wszędy małe, płytkie stawki, w których prosięta i starsze sztuki kąpią się podczas letniej pory. Jeżeli do tego dodamy, że żywienie odbywa się regularnie i wyłącznie zdrowemi pokarmami; zdawałoby się, że chów w takich warunkach nie może narazić gospodarza na żadne straty, z wyjątkiem chorób zakaźnych. A jednak w ostatnich czasach w wielu angielskich gospodarstwach zdarzyły się wypadki, że maciory zupełnie zdrowe, w 2—3 dni po oproszeniu traciły mleko bez wyraźnego powodu i żadne środki nie mogły tego groźnego dla hodowli wypadku usunąć. Jeden z gospodarzy angielskich wpadł na pomysł, aby na drugi dzień po oproszeniu wypędzić maciory na paszę zieloną, bądź na łąkę, bądź na koniczysko, i przekonał się, że ta praktyka stanowczo zapobiega utracie mleka u tych samych macior, które pierwej temu nienaturalnemu stanowi podlegały. Odtąd pasanie świń oproszonych wchodzi w użycie powszechne u hodowców angielskich. Oczywiście, że oprócz karmy na pastwisku dostają maciory rano i wieczór po 2 garści kukurydzy z bobem.

Że zaś świnia jest obdarzona silnemi szczękami i stosunkowo więcej gruczołami ślinnemi, to powinno być wskazówką dla myślącego hodowcy, ażeby przeważnie żywił ten rodzaj zwierząt pokarmami, wymagającemi dokładnego żucia i obfitego naślinienia przed połknięciem. Tak przerobione pokarmy w jamie pyskowej z pewnością strawi zwierzę dokładnie a przeto wyzyska doskonale spożytą karmę. Nietrzeba zapominać, że podstawą trawienia jest dobre rozdrobnienie pokarmu zębami i nasycenie śliną, większość naszych gospodarzy żywi trzodę chlewną błędnie, nie przypuszczając nawet, że wielkie z tego powodu ponosi straty. Zwykle dają u nas trzodzie ziarno w formie mąki a głąbie w formie rzadkiej zupy; pomyje odgrywają główną rolę w żywieniu świń a w gorzelnianych gospodarstwach braha czyli wywary

Taką żywność możnaby dawać zwierzęciu pozbawionemu zupełnie zębów. Obfite płynne pokarmy wpływają tak szkodliwie na przyrządy trawienia, że najzdrowsze zwierzę po pewnym czasie nie prtrafi już dostatecznie strawić twardej lub suchej paszy. Jeżeli do tego dodamy jeszcze, że naczynia, w których zadawane bywają powyższe zupy, nie zawsze bywają czysto utrzymywane, zrozumiemy łatwo czę-

ste narzekanie gospodarzy, że w stósunku do wartości spożytej karmy, chów trzody chlewnej źle się opłaca. Dobry gospodarz powinien tedy trzymać się przy żywieniu świń następujących zasad: Prosiętom dawać ziarno zbóż lub roślin strączkowych gniecione a nigdy mielone. Później, gdy już mają zęby zupełnie rozwinięte, dawać ziarno całe, niegniecione i suche. (Oczywiście takim dorosłym świniom, które odzwyczajone zupełnie błędnem karmieniem od żucia twardych pokarmów, nie można dawać całych ziarn, boby ich strawić już nie potrafiły.) Ziarna dawać trzeba w małych ilościach, kilka razy na dzień głąbie w kawałkach lub gęstej masie a nigdy w postaci zupy. Jeżeli chcemy lub musimy jako dodatek do innej karmy zadawać otręby, należy je małą ilością wody na gęstą masę przemienić i dodać małe kawałki suchych makuchów, aby zmusić świnie do żucia zębami i powolniejszego jedzenia. Częste zadawanie paszy ma właśnie tę korzyść, że zwierzęta nie są wygłodzone i jedząc zwolna, doskonale karmę strawiają. Od tegoż też zależy przeważnie skutek karmienia i ilość spotrzebowanej karmy — a przeto ostateczny zysk z hodowli.

Poić należy świnie zawsze tylko przed jedzeniem, w ogóle niewiele wody dawać i natychmiast po pojeniu nie karmić.

W najznakomitszych gospodarstwach zagranicznych, opartych na ścisłym rachunku i skrzętnem badaniu skutków każdego sposobu, zaprowadzono powyższy tryb żywienia trzody chlewnej, nie wykluczając bynajmniej zadawania kartofli, buraków i innych głąbi a nawet w lecie zielonej paszy. Przekonano się stanowczo, że najzdrowsze i najsilniejsze były zwierzęta, które od młodości żywiono suchem, gniecionem i całem ziarnem; że nareszcie rachunek ścisły dowiódł, iż ta sama ilość paszy skarmionej w stanie naturalnym daleko większy wywarła skutek, aniżeli zadana w stanie płynnym, gotowanym lub mielonym.

Rozmaitości.

* **Kary na graczy i pijaków.** W średnich wiekach każde miasteczko niemieckie, w swoim arsenale narzędzi kar i tortur, posiadało tak zwany »płaszcz drewniany;« przeznaczony był dla niepoprawnych pijaków; łańcuch zaś złożony z kart, kości do grania, pionków itd. służył do ozdabiania piersi graczów z profesyi. Tak przybrani winowajcy skazywani bywali na przepędzenie, stósownie do wielkości winy, kilku godzin na jednym z placów publicznych, wystawieni na szyderstwa i urągowisko tłumu.

* **Handel kamforą** odgrywa wybitną rolę w Japonii. Drzewo, z którego wydobywa się kamfora, należy do roślin wawrzynowych i znajduje się głównie w prowincyach Tosa, Hiuga i Satsuma w Japonii południowej. Wielkie gaje tych drzew należą do rządu japońskiego, gdyż są one bardzo cenione do budowy okrętów. Wawrzyn kamforowy dosięga często potężnej wielkości. W okolicy Nagasaki znajdują się drzewa, mające trzy metry i więcej średnicy. Stara świątynia w Osuwa pod Nagasaki położona jest we wspaniałym gaju olbrzymich i bardzo starych drzew kamforowych. W innych miejscowościach na Kiusiu znajdują się drzewa, mające sześć metrów średnicy. Oprócz do budowy okrętów, nadaje się jeszcze bardzo drzewo kamforowe, z powodu delikatności swojej, do artystycznych robót stolarskich. — Przy wydobywaniu kamfory drzewo ulega zniszczeniu, lecz prawo krajowe nakazuje, aby na jego miejscu zasadzić nowe. Do przygotowania kamfory używają krajowcy nader prostego sposobu. Drzewo, zrąbane tuż nad ziemią, krajane bywa w drobne kawałki. Następnie stawia się wielki garnek metalowy, w części wodą napełniony, na powolnym ogniu. W ten garnek wstawia się kubek drewniany a w niego wrzuca kawałki drzewa kamforowego. Dno kubka jest przedziurawione, tak, że para może się przedostawać między kawałkami drzewa. Kubek zaopatrzony jest w hermetyczną pokrywę; para wodna, kamfora i olej kamforowy przedostają się przez rurę bambusową do drugiego kubła, a z tego w ten sam sposób do trzeciego. Ten ostatni składa się z wyższego i niższego oddziału; ściana, przedzielająca go jest przedziurawiona, tak, że woda i olej mogą odpływać do oddziału niższego, gdy tymczasem kamfora osiada w kryształach na pokładzie słomy, którą górny oddział jest wysłany. Następnie kamfora bywa zdejmowana ze słomy, pakowana w kubły drewniane, po 60 kilo w każdym, i jest gotowa do sprzedaży. Miejscowości, w których produkuje się kamfora, położone są często daleko od morza wewnątrz kraju i kamfora w takim razie przewożona bywa do miast handlowych. Z Hiogo wywieziono w 1891 roku 2,328.787 kilo kamfory, z tych 1,201.417 kilo do Europy.

* **Wynaleziono** nowy rodzaj papieru na którym wskutek rozmaitego sposobu przyrządzenia można pismo wodą wymazać. Ponieważ papier taki mógłby do rozmaitych fałszerstw posłużyć, przeto odmówiono nań patentu.

* **O rośnięciu człowieka.** Spostrzeżenia, które dotychczas o rośnięciu człowieka zrobiono, okazały, że człowiek najwięcej w pierwszym roku swego życia rośnie; przybywa go albowiem przez ten czas 14 centymetrów. Do trzech lat zmniejsza się przybytek wzrostu powoli a w piątym roku życia osiągnie już prawie każdy człowiek połowę swego wzrostu. Od piątego roku rośnie się równo do roku szesnastego, i to przy normalnem rozwijaniu się przecięciowo przybywa 5 centymetrów. W dwuch następnych latach przybywa tylko co rok 12 milimetrów od 18 do 20 zdarza się, iż przyrośnie 14 milimetrów, w 25 roku przestaje człowiek zwykle rość zupełnie.

* **Fabrykacya dyamentów.** Dotąd sposób powstawania dyamentów był zagadką, — dziś jednak wielu twierdzi, że spadają z nieba. Zawarte w meteorytach spadają na ziemię dyamenty w for-

mie proszku, albo małych czarnych ziarnek. Uczeni Jerosjejew i Łatkinów znaleźli w meteorycie, który spadł w Now. Orle w gubernii penskiej wiele czarnego proszku, który posiadał twardość dyamentu. Inni uczeni, uczyniwszy to samo spostrzeżeni, podali wydobyty z meteorytu proszek analizie i przekonali się, że był to proszek dyamentowy, który jest niekrystaliczną odmianą dyamentu. Te ziarna jednak mogły się tylko podczas tężenia meteorytu wytworzyć, ztąd też jest bardzo prawdopodobnem, że w elektrycznym piecu, w którym temperaturę doprowadzić można do 2,000 albo 2,500 stopni, będzie można wytworzyć potrzebne warunki, aby fabrykować jeżeli nie prawdziwe krystaliczne dyamenty, to przynajmniej na początek czarną proszkową odmianę jego.

* **Siła konia** — co znaczy? Liczy się, że zdrowy, silny koń uciągnie przez minutę w górę o jedną stopę wyżej 33,000 funtów, tj. 16,500 kilometrów, czyli 330 centnarów. A że zdrowy, silny człowiek uniesie w tym samym czasie 3 centnary, o jedną stopę wyżej, więc się przyjmuje, że siła jednego konia znaczy tyle, co siła 10 zdrowych, silnych ludzi. Unieść 3 centnary o jedną stopę wyżej na minutę, to znaczy nieść 3 centnary od niższego punktu w górę tak daleko, aż punkt górny od dolnego będzie o jedną stopę wyżej położony.

* **Największa gazeta na świecie** znajduje się w muzeum akwizgrańskiem. Jest to wychodząca w roku 1859-tym w Nowym Yorku »Kumiradet Quadrupe Constellation«. Ma ona format bilardowy jest 8 i pół stopy długa, 6 stóp szeroka. Gazeta ta ukazała się pierwszy raz w Ameryce północnej w święto obchochodzone na cześć niepodległości. Papier gazety tej, która ma być wydaną raz przez 100 lat, jest bardzo trwały i mocny; ryza waży trzy centnary, zawiera 8 stron o 13-tu szpaltach, z której każda 38 cali jest wysoka. Przez osiem tygodni pracowało nad nią bezustannie 40 osób. Kosztowała ona wtenczas 50 centów i drukowano jej 28,000 egzemplarzy, z których dzisiaj zaledwie kilka egzemplarzy może egzystuje.

* **W Aszanti** i w dziewiczych borach w okolicy Kuby, rośnie drzewo podobne do naszego dębu, z którego mieszkańcy tamtejsi wyborne żniwują masło. To masło roślinne nie tylko jest smaczne, lecz i bardzo trwałe,

Gdy się dwóch kłóci, —



trzeci się cieszy.

bo pomimo wysokiej tamtejszej temperatury przechowują takowe przez cały rok a nie traci na dobrym smaku.

ŻARTY.

Mądry Staś.

— Dziadziu, mama mówiła, że dostanę rubla. jeżeli wam powiem powinszowanie; dajcie mi dziesięć złotych, to wam powiem dwa.

Oszczędny.

Jeden jest tak skąpy, że nie trzyma psów, boby je musiał karmić, ale sam wychodzi na ganek i po nocy szczeka.

Oszust.

Przed sądem stanął właściciel domu, zapozywający komornika o niezapłacenie komornego. Pozwany usprawiedliwił się złożeniem kwitów.

— Jakżeś mi pan mógł powierzać taką sprawę, o której z góry byłeś przekonany, że ją przegrasz? — zapytał adwokat skarżącego.

— Eh, gdzież tam, byłem pewien, że ją wygram.

— Więc chyba kwity sfałszowane? — zawołał obrońca.

— Ależ to skaranie boskie, że są prawdziwe — odrzekł smutno właściciel.

— A więc, jakżeś mógł przypuszczać, że wygrasz?

— Ot, tak, że ten lis przebiegły mnie oszukał On po pijanemu przysięgał mi, że zgubił kwity: no, tak ja jego zapozwał, a ten oszust schował kwity i nie pokazał ich aż w sądzie, to cóż ja winien, że to taki oszust.

Po amerykańsku.

Farmer Heagle, z miejscowości Spotsville, potrzebując wody dla bydła, postanowił wykopać studnię. Kiedy po kilku tygodniach ciężkiej pracy, miało już wytrysnąć ożywcze źródło, studnia najniespodziewanej w świecie zawaliła się. Przemyślny farmer, poskromiwszy nagle wybuchy łatwe do zrozumienia rozpaczy, rzuca z siebie surdut i kapelusz, kładzie je obok zasypanego dołu, sam zaś chowa się w stodole. Po chwili przechodził koło studni sąsiad i spostrzegłszy kapelusz i surdut, domyślił się, że nieszczęśliwego Heagla musiała przywalić ziemia. W oka mgnieniu zwołuje innych sąsiadów i po niejakim czasie — studnia powróciła do dawnego stanu, zaś właściciel jej, wyszedłszy z ukrycia, serdecznie winszował sobie pomysłu. Prawdziwie dowcip — amerykański!

Pewnemu panu pozwolił doktór pić wino tylko przy stole; on też cały dzień siedzi przy stole i wciąż pije.

Abonenci pocztowi „Światła“

powinni się upominać zawsze na poczcie, gdy jakiego numeru nie dostaną.

Ci, którzy Nr. 1 i 2 w swoim czasie nie otrzymali, odbiorą Nr. 2 razem z Nr. 3, a Nr. 1 razem z Nr. 4.

Skoro upominanie na poczcie nie ma skutku, wtedy prosimy pisać do ekspedycyi „Światła“.

Ekspedycya nie winna, gdy numer na czas nie nadejdzie do rąk Abonenta, bo ona oddaje poczcie do wysłania tyle egzemplarzy, ile poczta żąda. Skoro tedy brak numeru, pocztowy urząd miejscowy powinien się o niego postarać.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.